

ANTONI COFALIK

UKOCHAŁEM SKRZYPCE¹

II. STUDIA

EGZAMINACYJNE FAUX PAS, CZYLI JAK ZOSTAŁEM „FELIŃSZCZAKIEM”

Pewnego pięknego czerwcowego dnia wstałem wcześniej niż zwykle, ubrałem się odświętnie, spakowałem skrzypce i wsiałem do pociągu jadącego w kierunku Krakowa, udając się na egzamin do tamtejszej Wyższej Szkoły Muzycznej. Kilka względów zadecydowało o wyborze tego właśnie miasta na miejsce studiów: chęć zmiany środowiska (Śląsk, jako region przemysłowy, od samego początku jakoś nie pasował do moich planów życiowych), możliwość kontynuowania nauki u najlepszych w kraju pedagogów skrzypcowych, wreszcie potrzeba usamodzielnienia się. Nie bez znaczenia był też fakt, że od opisanej w poprzednim rozdziale pamiętnej wycieczki szkolnej zakochałem się w Krakowie, uznając je za najpiękniejsze i najbardziej godne do studiowania miasto w Polsce.

¹ Niniejszy tekst stanowi fragment niepublikowanych dotąd wspomnień autora.

Jechałem do Krakowa w raczej optymistycznym nastroju, miałem bowiem zapewnienie profesora Felińskiego – osoby znanej i liczącej się w świecie skrzypcowym, że jeśli pozytywnie zdam egzamin, on przyjmie mnie do swojej klasy. A stało się to za sprawą kolegi ojca, skrzypka WOSPR-u – Józia Salacza. Znał on Felińskiego z czasów, gdy ten po wojnie krótki czas grał w katowickiej orkiestrze.

Uczelnia krakowska zajmowała parter i dwa piętra czteropiętrowego poklasztornego budynku siostr Urszulanek przy ul. Bohaterów Stalingradu 3 (dziś Starowiślna), dzieląc go z Wyższą Szkołą Teatralną. Egzamiны skrzypków odbywały się na drugim piętrze, w sali nr 17 – największym z pomieszczeń w uczelni, posiadającym niewielką estradę. Z powodu skromnych warunków lokalowych kandydatom na studentów nie udostępniono pomieszczeń do rozgrywania się, toteż wszędzie słychać było granie, a na podłodze przed wejściem do sali leżały porozkładane futerały, teczki z nutami, torby itp.

W czasie gdy w bocznym korytarzu przegrywałem sobie fragmenty programu egzaminacyjnego, podeszła do mnie nieznana mi dziewczyna, pytając, jak się nazywam i skąd przyjechałem, a następnie zagadnęła o plany związane ze studiami. Zwierzyłem jej się, że myślę o studiach u profesora Felińskiego, powiedziałem, że w pewnym sensie mam już „zaklepane” miejsce w jego klasie. Ku memu zaskoczeniu zaczęła mi odradzać, twierdząc, że nie jest to najlepszy pomysł, albowiem profesor – starszy już człowiek – niedługo przejdzie na emeryturę i prawdopodobnie nie zdąży doprowadzić mnie do dyplomu. Zmartwiła mnie ta wiadomość, ale pomyślałem sobie, że przejmowanie się niejako na zapas nie ma żadnego sensu, a problem rozwiąże się sam. Chwilę potem poproszony zostałem do sali, gdzie przy długim stole przykrytym zielonym sukniem zasiedli wszyscy uczący w uczelni gry na skrzypcach. Wymagany program wykonałem na miarę swoich możliwości, tremę dzielnie

przewyciężając, poprawnie też odpowiedziałem na dwa lub trzy pytania przewodniczącej komisji egzaminacyjnej – profesor Eugenii Umińskiej.

Jakiś czas po moim wyjściu z sali w drzwiach stał dziekan Chwedczuk i wyczytuje moje nazwisko. W jednej chwili jestem przy nim, a on pyta mnie, u kogo chciałbym się uczyć. Mając jeszcze w uszach słowa anonimowej rozmówczynie, machinalnie wymieniam nazwisko profesor Umińskiej. Dziekan przyjmuje do wiadomości mój wybór, po czym wraca do sali egzaminacyjnej. A oto finał tej historii.

Niedaleko wejścia do sali nr 17, na ławeczce znajdującej się w oszkłonej wnęce korytarza siedziała profesorowa Marion Felińska i czekała na męża. Była to siwa starsza pani o oryginalnych rysach twarzy i ciepłym spojrzeniu. Jej starannie upudrowana twarz zdradzała ślady dawnej urody. W momencie, kiedy za dziekanem zamknęły się drzwi, podeszła do mnie, przedstawiła się i łamaną polszczyzną spytała, dlaczego nie chcę uczyć się u „jej mąż” (zauważyłem, że posiada dziwny akcent i ma trudności z prawidłowym wysławianiem się). Powtórzyłem jej rozmowę z nieznaną i napomknąłem o moich wątpliwościach dotyczących ukończenia studiów u profesora. Pani Felińska zaprzeczyła, jakoby profesor miał zamiar w najbliższym czasie przejść na emeryturę, powiedziała, że mąż wie już o mnie, chce mnie uczyć, i zapewniła, że doprowadzi do dyplomu. A to, co usłyszałem od nieznannej mi dziewczyny, określiła jako intrygę wrogów profesora (jakoś nie mieściło mi się wtedy w głowie, że można mieć wrogów, ucząc gry na skrzypcach...). Po tych wyjaśnieniach kazała mi raz jeszcze wejść do sali, przeprosić komisję za wprowadzenie w błąd i prosić o przydzielenie do klasy profesora Felińskiego. Jako młodzieniec dobrze wychowany, nie mogłem pani profesorowej odmówić. Nie przyszło mi do głowy, iż to, co robię, jest afrontem w stosunku do Umińskiej; pani profesor miała prawo czuć się urażona, że nie chcę uczyć się u niej i mówię o tym wobec całej

komisji. Jakiś czas potem dowiedziałem się, że tych dwoje znanych pedagogów od lat rywalizuje ze sobą o studentów, a stosunki między nimi nie układają się najlepiej.

Późnym popołudniem szczęśliwy i zadowolony wsiałem do pociągu, udając się w drogę powrotną do rodzinnych Mysłowic. W domu zdałem dokładną relację z tego, co przydarzyło mi się w Krakowie. Rodzice nie byli zachwyceni moim zachowaniem. Ojciec uznał, że moja uległość wobec Felińskiej była nieroztropna i w przyszłości może mi zaszkodzić. Dał mi też do zrozumienia, iż wolałby, abym uczył się u Umińskiej – artystki koncertującej, „z nazwiskiem”. Całe to zamieszanie było efektem protekcji kolegi ojca, przesympatycznego Józia Salacza, który chciał dobrze, ale nie mógł przewidzieć takiego obrotu sprawy. W rezultacie jego aktywność oraz spontaniczna chęć pomocy okazały się niedźwiedzią przysługą, a ojciec mój już zawsze, trochę złośliwie, a w każdym razie z przekąsem, nazywał Felińskiego wybitnym teoretykiem gry skrzypcowej. I tak to, tym razem już nieodwołalnie, zostałem studentem profesora, jednym z „felińszczaków” – jak mawiała żona profesora.

* * *

W ostatnich dniach września, po trwających trzy miesiące, pełnych atrakcji wakacjach (wędrówki z namiotem po Beskidzie Żywieckim, szalone taternicze próby z pianistą Czesiem Stańczykiem, w tym wejścia na Mnicha oraz Cubrynę, zdobywanie – niestety bez powodzenia – Niżnego Żabiego), udałem się do Krakowa, miasta moich przyszłych studiów. Przyjechałem kilka dni wcześniej, aby poszukać sobie jakiegoś lokum, urządzić się i zaaklimatyzować w nowym miejscu. W sekretariacie uczelni dowiedziałem się o przyznaniu mi miejsca w domu stu-

denckim UJ-tu „Rotunda”. Była to dobra wiadomość, odpadł mi bowiem problem szukania na własną rękę mieszkania, nie mówiąc o tym, że życie w akademiku było dla mnie czymś nowym i niewątpliwie pociągającym.

Po zainstalowaniu się w pokoju na piątym piętrze ruszyłem na zwiedzanie miasta. Dotarłem do Rynku, rozkoszując się widokiem tego unikalnego miejsca. Moje mieszane uczucia budziły jednak parkujące w wielu miejscach i jeżdżące wokół okazałego placu samochody (na szczęście głównie osobowe). W tamtych czasach wokół krakowskiego Rynku odbywał się regularny ruch samochodowy, co w oczywisty sposób psuło jego atmosferę, i to zarówno w sensie przenośnym, jak i dosłownym (spaliny samochodowe były prawdziwą zmorą mieszkańców Krakowa). Jeśli chodzi o zabytkowe kamieniczki, wyglądem swoim nie przypominały jeszcze tych, które podziwiamy dzisiaj; były szare, zaniedbane, a ich fasady straszyły odpadającymi tynkami. Dramatycznie przedstawiały się krakowskie podwórka. Były brudne, pełne śmieci, a wewnętrzne drewniane galerie były przegniłe lub połamane. Także o kościoły nie dbano, a najbardziej znany – kościół Mariacki – pokrywała warstwa zastałego brudu, przez co robił on wrażenie prawie czarnego. Powodem było powietrze, które w Krakowie w czasach PRL należało do najbardziej zanieczyszczonych w kraju. Największymi trucicielami były usytuowane na obrzeżach miasta socjalistyczne zakłady przemysłowe – Huta im. Lenina oraz Huta Skawina. Ich wyloty szkodziły zabytkom, których detale wykruszały się i na oczach rozpadały. Jak można się było domyśleć, w takich warunkach również zdrowie krakowian narażone było na szwank. Panowała w Polsce opinia, że życie w Krakowie nie należy do zdrowych. Pomimo tych mankamentów nic nie było w stanie zrazić mnie do miasta, którego nie zamieniłbym na żadne inne.

Okrążając kolejny raz Rynek, wstąpiłem do księgarni muzycznej. Spędziłem w niej dłuższą chwilę, przeglądając stosy nut i książek. Nowości z zakresu gry skrzypcowej zawsze żywo mnie interesowały. Z satysfakcją skonstatowałem, że nazwisko Zenona Felińskiego jako autora różnego rodzaju podręczników oraz opracowań literatury skrzypcowej pojawia się w nich nader często.

Po południu złożyłem wizytę profesorowi, który uradował się na mój widok i wyznaczył mi termin pierwszej lekcji. Felińscy zajmowali niewielkie mieszkanie przy al. Marchlewskiego (dziś Prażmowskiego). Pierwsze moje rozczarowanie dotyczyło faktu, że profesor nie posiada w uczelni sali, w której odbywałyby zajęcia. Od pani Felińskiej dowiedziałem się, że wszyscy uczniowie profesora od zawsze przychodzili tutaj, na Marchlewskiego. Chcąc nie chcąc, przez całe studia chodziłem i ja na lekcje do domu profesora, co – przyznam – nie za bardzo mi odpowiadało. Lekcje w domowych pieleszach profesorostwa, według mnie, miały jakby niższą rangę, posiadały półoficjalny charakter, pozbawione były swoistej artystycznej otoczki, którą stwarzają mury uczelni.

Kiedy byłem na pierwszym roku, profesor miał nas pięciu studentów. Najstarszym był Henio Jarzyński, o rok młodszy był Wacek Leśniak, a razem ze mną na roku znaleźli się wrocławianin Franciszek Falger oraz altowiolista Edward Treściński. Po mnie studia u profesora Felińskiego skończyli jeszcze Bolek Bieniasz („komornik”, jak go nazywał profesor, nie przepuścił bowiem żadnej lekcji, bezwzględnie je egzekwując), Kazik Pogorzelski oraz Janusz Miryński.

Atmosfera w „klasie” była domowa i prawie rodzinna, choć moim zdaniem, sztucznie podsyciała ją profesorowa, która postawiła sobie za cel zintegrowanie wszystkich uczniów męża. Mieliśmy się trzymać razem, wzajemnie wspierać, a przede wszystkim na zewnątrz chwalić swojego Mistrza. Wierność profesorowi oraz jego ideom i metodom –

oto hasło, które miało przyświecać „felińszczakom” w walce z wrogiem numer jeden – Eugenią Umińską. Czuliśmy się wszyscy jak członkowie jakiejś sekty, w której bezgraniczne oddanie Mistrzowi stało się naszym podstawowym obowiązkiem.

Po każdej lekcji profesor odpoczywał, zapadając w drzemkę w swoim leżako-fotelu (w tym dziwnym „meblu”, w pozycji półleżącej Mistrz słuchał zawsze mojej gry), a ja spędzałem jeszcze kilka chwil z profesorową na rozmowie w kuchni. Czuję się tym wyróżniony, traktowany na specjalnych prawach, jak gdyby włączony do rodziny. Temat „Eugenia Umińska” często przewijał się w naszych rozmowach. W okresie studiów u profesora wielokrotnie musiałem wysłuchiwać opowieści o fatalnych cechach jej charakteru, o tym, że nie potrafi dobrze uczyć, że w młodości zdradzała męża itp. Myślę, że pani Felińska cały czas pamiętała deklarowaną przeze mnie chęć studiowania u Umińskiej, wyrażoną w rozmowie z dziekanem po moim egzaminie wstępnym, toteż wszelkimi sposobami usiłowała przedstawić rywalkę męża w niekorzystnym świetle, wręcz zniechęcić mnie do niej. Trzeba powiedzieć, że w walce tej zapędzała się niekiedy zbyt daleko. Perfidią trzeba nazwać przypisywanie Umińskiej morderstwa swojego męża. Tę sensacyjną wiadomość przekazała mi pani Felińska w największej tajemnicy, kiedy byłem na drugim roku studiów. Jak przeczytałem wiele lat później w kronice kryminalnej jakiegoś „brukowca”, rzeczywiście, była przed wojną taka głośna sprawa, szeroko opisywana w prasie, tyle że owa morderczyni o nazwisku Umińska miała inne imię i była... aktorką².

² Przedwojenna aktorka Stanisława Umińska istotnie zastrzeliła swojego ciężko chorego narzeczonego (nie męża), ale odbyło się to na jego prośbę, w związku z czym została przez sąd uniewinniona.

Felińscy należeli do ludzi nieprzywiązujących wagi do spraw materialnych. Odnosiłem wrażenie, że żyli dniem dzisiejszym, nie zaprzatając sobie głowy jutrem. Urodzony w Tarnowie, dzieciństwo spędził profesor w Drohobyczu na Kresach. Od starszych kolegów dowiedziałem się, że „Feliński” – to jego nowe nazwisko. Prawdziwe brzmiało „Fleischer”.

Opowiadał mi profesor, że chcąc bezpiecznie przejść główną ulicą Drohobycza w godzinach rannych, należało głośno mówić „idże sze, idże sze” (profesor znakomicie posługiwał się żydowskim żargonem). – Dlaczego? – spytałem. W odpowiedzi usłyszałem, że o tej porze mieszkańcy opróżniali nocniki, wylewając ich zawartość z okien wprost na ulicę. Opowieść ta świadczyła o dystansie profesora do środowiska, z którego się wywodził, a także o jego specyficznym poczuciu humoru.

Profesora poznałem, kiedy miał sześćdziesiąt jeden lat. Od samego początku robił na mnie wrażenie starca. Był raczej wysokiej postury, lekko pochylony, a w oczy rzucała się jego brązowa łysina. Miał ciemną karnację, ciężkie opadające powieki i smętne, wschodnie spojrzenie. Na ulicy poruszał się wolno, zawsze trzymając się z żoną pod rękę. Pod pachą niezmiennie nosił trójnog – rozkładane krzeselko z trójkątnym skórzanym siedzeniem. Prawdopodobnie cierpiał na jakąś słabość w nogach, bo co jakiś czas zatrzymywał się i przysiadł na tym swoim przenośnym stołeczku.

Felińskich można było często spotkać na Plantach spacerujących lub odpoczywających na którejś z ławeczek, najczęściej na odcinku Sławkowska – Collegium Novum. Naprzeciwko Uniwersytetu, u zbiegu ulic Podwale i Piłsudskiego znajdował się bar „Uniwersytecki” („uniwersytutka”, jak nazywała go Felińska), w którym profesorostwo się stołowali. Za każdym razem, kiedy spotykałem ich w tamtej okolicy w porze

obiadowej, zapraszali mnie na obiad. Dania były tam niedrogie i jak na tego typu bar całkiem smaczne. Felińskich znał cały pracujący tam personel. Byłem przedstawiany kolejno wszystkim kelnerom i kelnerkom jako najwybitniejszy student profesora. Czułem się tym bardziej zażenowany niż zaszczycony. Ale mimo wszystko miło wspominam te nasze barowe „biesiady”.

Jako że raz w tygodniu bywałem w domu profesora (z taką częstotliwością na ogół miewałem lekcje), wypada mi pokrótce opisać zajmowane przez profesorostwo mieszkanie. Jak już wspomniałem, było niewielkie, a poza tym niezwykle skromnie umeblowane. W jedynym pokoju stało drewniane wąskie łóżko profesora (żona spała na turystycznym, które rozkładało się dopiero przed spaniem), zrobiony z leżaka fotel (był to zwykły, plażowy leżak, obłożony kocami i poduszkami), jedno krzesło oraz okrągły taboret z prymitywną lampką nocną. W rogu stał kaflowy piec, a obok niego metalowy pulpit. I to było wszystko. Aha, jeszcze jedno, o czym byłbym zapomniał – na podłodze, niejako w zastępstwie dywanu, leżał rozpostarty i przymocowany pineskami do dębowych klepek szary koc. W pokoju panował półmrok, a zasłon okiennych z reguły się nie odsłaniało. Ziejące pustką ściany robiły wrażenie od dawna nieomalowanych. Za to kuchnia była jasna i czysta. Stały tam niezbędne sprzęty kuchenne – stół, dwa krzesła, szafka na naczynia kuchenne, niewielka lodówka oraz emaliowany zlewozmywak. Pomimo ciasnoty było to najbardziej sympatyczne i można rzec, schludne pomieszczenie. Z wąskiego, ciemnego przedpokoju pamiętam umocowany do ściany wieszak na ubrania oraz co jakiś czas uzupełniany stosik drewna opałowego.

Profesorostwo mieli dwie obsesje. Twierdzili, że za każdym razem, kiedy na dłużej wychodzą z domu, do ich mieszkania dostają się sąsiedzi i wykradają im owo drewno. Kilka razy byłem świadkiem, jak pani Felińska z całą stanowczością twierdziła, że rano było go więcej niż

wieczorem. Tłumaczyłem im, że wysychając, drewno zmniejsza swoją objętość, ale oni nie przyjmowali tego do wiadomości. Uważali też, i mówili o tym wyłącznie szeptem, że podsłuchiwanie są za pośrednictwem ukrytych w ścianach mikrofonów. Przez kogo i w jakim celu, tego nie precyzowali.

W pewnym okresie mieszkała u nich moja siostra, śpiając na dodatkowym rozkładanym łóżku. Felińscy z dobrego serca przygarnęli ją do siebie, ponieważ jako wolna słuchaczka Akademii Sztuk Pięknych nie miała gdzie mieszkać. Po roku mieszkania z Felińskimi, kiedy była już oficjalnie studentką ASP, przeniosła się do akademika. Felińscy tak przyzwyczaili się do niej, że gdy się wyprowadziła, poprosili mnie, abym przynajmniej na jakiś czas zamieszkał z nimi. Miałem swoje miejsce w akademiku, ale trudno mi było odmówić. Czułem, że mogliby odebrać to jako afront, a może nawet obrazić się na mnie. Przychodziłem więc do nich po zajęciach, wspólnie jedliśmy kolację, wysłuchiwałem najprzeróżniejszych, często bardzo interesujących opowieści, po czym profesorowa rozkładała mi łóżko polowe i kładliśmy się spać. To, co dla mnie było niezwykle krępujące, dla nich stanowiło atrakcję, pewnego rodzaju rozrywkę, lubili bowiem przebywać w towarzystwie ludzi młodych.

Pamiętam, że dwumiesięczny okres zamieszkiwania u Felińskich był dla mnie czasem trudnym i męczącym. Chodziłem notorycznie niewyspany, ćwiczyłem mniej i trudno mi było wyrwać się od nich na ranne zajęcia. A wszystko dlatego, że profesorostwo prowadzili nietypowy tryb życia. Był to czas, kiedy profesor cierpiał na bezsenność i zasypiał dopiero około czwartej nad ranem. Prawie całą noc paliła się w pokoju lampka nocna, a profesorowa czytała coś mężowi, starając się, żeby zasnął. Około drugiej w nocy profesor wstawał, szedł do kuchni, zjadał solidną kolację (uwielbiał jajka na twardo, przepadał za kielbasą), po

czym kładł się do łóżka i problem z zaśnięciem pogłębiał się. Ja przez większą część nocy nie spałem, przeszkadzało mi palące się światło, budziły rozmowy. Rano z trudem wstawałem i półprzytomny szedłem na zajęcia. Oni wstawali około godziny drugiej po południu i wtedy dopiero zaczynał się dla nich dzień.

Zjawiłem się kiedyś na Marchlewskiego w godzinach popołudniowych – mogła być godzina trzecia – przynosząc profesorowi wiadomość, że Filharmonia Krakowska zaproponowała mi udział w audycjach szkolnych. A że byłem tym faktem podekscytowany, przekazywałem mu tę radosną dla mnie nowinę nieco podniesionym głosem. Profesor upomniał mnie, żebym rano (!) mówił do niego ciszej.

Oprócz wspomnianych wyżej dziwactw-urojeń obojga małżonków Feliński posiadał coś, co można by nazwać manią wynalazczą. Uważał się za wynalazcę helikoptera oraz jakiegoś urządzenia kuchennego, bodajże sokowirówki. Twierdził, że oba patenty na krótko przed wojną zostały mu podstępnie wykradzione, a następnie bez jego zgody wprowadzone do produkcji. Przez pewien czas nosił się profesor z zamiarem wystąpienia na drogę sądową (przeciwko komu, nie bardzo było wiadomo) z powodu poniesionych strat moralnych, a także materialnych, ale z braku jakichkolwiek dowodów na to, że on urządzenia te wymyślił, zaniechał myśli o oficjalnych roszczeniach.

Chociaż lekcje z profesorem nigdy nie były dla mnie większym muzycznym przeżyciem, dobrze je wspominam, szczególnie w pierwszych latach nauki. Rzadko kiedy polegały one na rozwiązywaniu problemów muzycznych czy ustalaniu szczegółów interpretacyjnych. Profesor wymagał jedynie ode mnie gry czystej, sprawnej technicznie i odważnej. Zwracał uwagę na swobodę gry i rozmach („rzuty” – tego określenia używał najczęściej, jeśli chodzi o funkcjonowanie prawej ręki). Dobrze czuł się i najwięcej miał do powiedzenia w repertuarze

klasycznym (Mozart, Beethoven). Muzyka istniała dla niego jedynie do Brahmsa, sam ucziwie przyznawał się do tego, że nowszej muzyki nie rozumie (myślę, że po prostu jej nie znał). Toteż kiedy zacząłem interesować się muzyką dwudziestego wieku, zdany byłem wyłącznie na siebie.

Poważnym mankamentem lekcji w domu profesora był brak pianina (o fortepianie nie mogło być mowy z powodu ciasnoty), toteż bardzo rzadko przesłuchiwał mnie z akompaniamentem. Ale miałem szczęście, bo trafiłem na niezwykle oddaną mi akompaniatorkę, a poza tym wspaniałą osobę – Basię Penderecką (pierwsza żona Krzysztofa), która zawsze znajdowała dla mnie czas i z którą mogłem ćwiczyć do woli. Basia była też moją nauczycielką „dodatkowego pianina”, co zazwyczaj kończyło się wspólnym muzykowaniem. Zaś jeśli chodzi o fortepian, do galopu brała mnie Basia dopiero na krótko przed egzaminami.

Lekcje z profesorem były treściwe, można rzec skondensowane i nigdy nie trwały zbyt długo. Po przegraniu przygotowanych przeze mnie utworów profesor na ogół chwalił mnie, a kilka razy usłyszałem od niego: „chłopie, grasz jak Heifetz, spakuj się!”. Resztę czasu spędzałem w kuchni na rozmowach z panią Felińską, a profesor ucinął sobie w pokoju drzemkę.

Każdego roku na przełomie kwietnia i maja Felińscy przenosili się na kilka tygodni do Krzeszowic – podkrakowskiej miejscowości uzdrowskiej posiadającej korzystny mikroklimat, a przede wszystkim czyste powietrze. Zapraszał ich do siebie krzeszowicki dentysta doktor Stanisław Koziół – brat wybitnego dyrygenta Kazimierza Korda. Pan Koziół miał duże mieszkanie przy ul. Krakowskiej i utrzymywał przyjacielskie kontakty z wieloma krakowskimi muzykami. Na ten czas lekcje z profesorem, oczywiście nieoficjalnie (nie można było o tym nikomu mó-

wić), były odwołane. Będąc na czwartym roku, zakochałem się w „impresjonistycznym”, pełnym kolorów oraz przeróżnych nastrojów *I Koncercie skrzypcowym* Karola Szymanowskiego i postanowiłem się go nauczyć. Przygotowywałem go sam, wsłuchując się jedynie w doskonałe nagranie Romana Totenberga z poznańskimi Filharmonikami pod Wisłockim oraz ćwicząc codziennie z Basią Penderecką. Pod koniec roku akademickiego czekało mnie absolutorium, od wyniku którego zależało, czy zostanę zakwalifikowany do wykonania tegoż *Koncertu* z naszą Filharmonią.

Był maj i Felińscy od miesiąca przebywali na wiosennym wypoczynku. Za namową Basi oboje udaliśmy się na lekcję do Krzeszowic. Lekcja odbyła się w auli tamtejszej szkoły muzycznej. Profesor usiadł z żoną na końcu sali, a my zaczęliśmy grać. Zanim się spostrzegliśmy, dobrnęliśmy do końca dwudziestokilkuminutowego utworu. Po ostatnich, ulotnych dźwiękach skrzypiec z końcowych rzędów auli do uszu naszych doszły cienkie, trochę nerwowe brawa. To profesor z profesorową urządzili nam tę miniwację. W miejsce uwag dotyczących jakości brzmienia, temp czy chociażby proporcji między skrzypcami a fortepianem usłyszałem od profesora, że jest zachwycony, że znakomicie gram ten koncert i w ogóle świetnie czuję Szymanowskiego. Same pochwały i komplementy. A przecież nie po to tu przyjechaliśmy. Opuszczaliśmy zielone Krzeszowice rozczarowani, uważając spotkanie z profesorem za czas, jak to określiła Basia, „mile stracony”. Całe szczęście, że niedługo później moje wykonanie utworu uzyskało aprobatę komisji egzaminacyjnej, która wytypowała mnie do występu z Filharmonią. Odetchnąłem z ulgą, a profesor zaliczył kolejny sukces pedagogiczny.

Miesiące wakacyjne Felińscy najczęściej spędzali w Mikuszowicach koło Bielska. Zapraszał ich do siebie przedwojenny fabrykant wełny

ubraniowej, skrzypek amator, posiadacz oryginalnego instrumentu „Nicolò Gagliano”, niejaki Ryżewski. Odwiedziłem ich pewnego lata i poznałem sympatycznego właściciela willi położonej w sąsiedztwie Lasku Cygańskiego. Miałem okazję wypróbować wtedy unikalny starowłoski instrument z początku XVIII wieku i podelektować się jego dźwiękiem. Pamiętam to jako ekscytujące przeżycie.

Pewnego lata rodzice, chcąc zrewanżować się Felińskim za gościnność okazaną mojej siostrze, zaprosili oboje do Katowic. Mieszkaliśmy już wtedy w dużym, wygodnym mieszkaniu w południowej części stolicy Górnego Śląska. Rodzice odstąpili profesorostwu swoją sypialnię i po raz pierwszy spali oni na łóżkach z prawdziwego zdarzenia. Czuli się u nas bardzo dobrze, bo po dwóch tygodniach nawet nie wspominali o wyjeździe. Nie byli zresztą gośćmi absorbującymi, było upalne lato i często wychodzili na spacer. Celem tych spacerów był najczęściej cmentarz komunalny przy ul. Francuskiej. Któregoś dnia wyszedłem z domu rano, by powrócić około południa. W domu zastałem jedynie profesorową. Zaniepokojony zapytałem ją:

– A gdzie profesor?

– Leży na cmentarzu – odpowiedziała z niewinnym wyrazem twarzy.

Okazało się, że profesor upodobał sobie stojącą w cieniu okazałej lipy cmentarną ławeczkę, na której lubił kłaść się w upalne dni.

Różnego rodzaju przejęzyczenia zdarzały się profesorowej często. Była wiedeńską Żydówką i nigdy nie nauczyła się poprawnie mówić po polsku. Najwięcej uciechy miał z tego profesor, który z lubością opowiadał je wszystkim dokoła. Kiedyś podobno wstąpiła pani Felińska do drogerii z zamiarem kupna rozpuszczalnika i poprosiła o „rozpustnik”. Wprawiała tym obsługę drogerii w niemałe zakłopotanie. Na szczęście w odpowiednim momencie profesor przyszedł żonie w sukurs i wyjaśnił paniom, o co jej chodziło.

Jak już wspomniałem, tego lata Felińscy czuli się w Katowicach wyśmienicie, chwalili sobie spanie w małżeńskim łóżu moich rodziców i wszystko wskazywało na to, że nie mają zamiaru szybko wracać do Krakowa. Rodzice użyli wtedy następującego fortelu: Po poprzedniej właścicielce mieszkania, znajomej rodziców, pani Kalabińskiej, pozostało trochę porządných przedwojenných mebli, wśród których było podwójne małżeńskie łóżo podobne do tego, które stało w sypialni rodziców. Rodzice nie bardzo mieli z nim co zrobić i postanowili podarować je Felińskim. Profesorostwo byli zachwyceni. W ciągu dwóch dni mama zorganizowała transport i superwygodne łóżko wraz z Felińskimi odjechało do Krakowa. Mówił mi później profesor, że przestał cierpieć na męczącą go do tej pory bezsenność, tak dobrze mu się teraz spało.

Zawsze interesowało mnie, jak przeżył profesor wojnę, ten jakże trudny dla niaryjczyka czas. Nie chciał o tym mówić, prawdopodobnie wspomnienia były zbyt bolesne, ale raz napomknął, że jacyś porządni ludzie przechowali go w piwnicy w drewnianej skrzyni, donosząc mu tam jedzenie i picie. Byłem pod dużym wrażeniem tej niesamowitej historii. Gdzie miało to miejsce i kim byli owi szlachetni ludzie, tego niestety już się nie dowiedziałem.

Jeśli chodzi o stosunek Felińskiego do religii, mogę zaryzykować stwierdzenie, że był profesor człowiekiem głęboko wierzącym (oboje z żoną krótko przed wybuchem wojny przeszli na protestantyzm). Wielokrotnie byłem świadkiem, jak rozpoczynał dzień od czytania Pisma Świętego. Również przed zaśnięciem zawsze brał do ręki tę wydaną w języku niemieckim księgę i w największym skupieniu studiował wybrany fragment, niekiedy czytając go na głos żonie. Nawet podczas lekcji, w uwagach kierowanych do mnie, często nawiązywał profesor do Pisma Świętego, niejednokrotnie je cytując. Do dziś mam w uszach dwa

zdania: „Nie rzuca się perłę przed wieprze” (kogo uważał za owe wieprze, nietrudno się domyśleć...), „Kto sieje, ten zbiera” (tutaj zapewne siebie jako pedagoga miał na myśli), toteż zaskoczyła mnie wiadomość, że na łożu śmierci po raz kolejny zmienił Feliński wiarę, tym razem przechodząc na katolicyzm.

Na tematy polityczne nigdy z profesorem nie rozmawiałem. Jakie były jego prawdziwe poglądy w tych kwestiach, pozostanie dla mnie tajemnicą. Nie sądzę, aby popierał PRL i ustrój panujący w naszym kraju, to nie byłoby normalne. Jednakże chcąc być wydawanym, oficjalnie musiał akceptować zaistniały po drugiej wojnie stan rzeczy, tudzież chwalić socjalistyczną gospodarkę. Oto fragment przedmowy do jednej z jego książek (*Metodyka nauczania gry na skrzypcach*, PWM, 1953 rok): „Podobnie jak nowe, socjalistyczne metody i pomysły racjonalizatorskie dają wspaniałe rezultaty w produkcji, stosowanie nowoczesnych i racjonalnych metod w pedagogice może przyspieszyć i poprawić wyniki nauczania”. Bez powyższego, skądinąd zgrabnego politycznego wtrętu, książka profesora najprawdopodobniej nie ujrzałaby światła dziennego.

Podobno wśród muzyków, którzy po wojnie zjechali z całej Polski do reaktywowanej przez Witolda Rowickiego Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach, znalazł się i Zenon Feliński (z tamtego to czasu datuje się jego znajomość z kolegą ojca – Józkiem Salaczem). Nie zagrzał jednak profesor miejsca w katowickiej orkiestrze (zajmował miejsce w jednym z ostatnich pulpitów drugich skrzypiec), bardziej od grania interesowała go pedagogika. Po roku wyjechał do Sopotu, gdzie zaferowano mu profesurę w nowo otwartej Wyższej Szkole Muzycznej. Stamtąd po jakimś czasie przeniósł się do uczelni warszawskiej, w której także uczył tylko przez rok. W 1951 roku zamieszkał wraz z żoną w Krakowie, prowadząc klasę

skrzypiec w tutejszej uczelni aż do śmierci w 1971 roku. Jak widać, profesorostwo nie mieli zwyczaju przywiązywać się do miejsc. Osiedlony w Krakowie, swoje mieszkanie opuszczali przy każdej nadarzącej się okazji. „Żyd – wieczny tułacz” – tak określiła profesora moja mama.

ROTUNDA

W owym czasie krakowska uczelnia nie posiadała jeszcze własnego akademika, a jej studenci porzuceni byli po różnych domach studenckich. Jak już wspomniałem, moim pierwszym mieszkaniem w Krakowie był akademik UJ-tu „Rotunda” (obecnie „Żaczek”). Zamieszkałem w pokoju czteroosobowym na najwyższym – piątym piętrze. Moimi współmieszkańcami byli organista, skrzypek oraz student Wydziału Fizyki UJ-tu. W pokoju stały dwa żelazne piętrowe łóżka, stół, cztery krzesła i wspólna szafa na ubrania. Warunki mieszkaniowe bardziej niż skromne.

Na portierni dzień i noc siedział portier pilnujący porządku i niewpuszczający obcych na teren budynku. Portierów było w sumie kilku, lecz najbardziej lubianym był pan Buszek. Już po dwóch tygodniach znał wszystkich nowych mieszkańców akademika. Miał świetną pamięć wzrokową i kiedy siedział w oszklonym kantorku, żadna obca osoba nie miała prawa prześlizgnąć się przez wąskie gardło wejściowego korytarzyka. Był przy tym pan Buszek bardzo „ludzki” i wyrozumiały; dało się z nim załatwić każdą sprawę – od wprowadzenia koleżanki, późniejszego jej wyjścia z akademika, do przemycenia tak zwanego waleta na noc włącznie. Po latach, kiedy z sentymentu do miejsca odwiedziłem ten znany krakowski dom studencki,

pan Buszek pracował tam jeszcze, poznał mnie, pamiętał, jak się nazywam, wypytyjąc, co porabiam i jak ułożyło mi się życie po skończeniu studiów. Wspominam go do dzisiaj lepiej niż niejednego profesora czy wykładowcę.

Budynek akademika posiadał formę czworoboku z dziedzińcem pośrodku. Jedno ze skrzydeł budynku zajmowała sala widowiskowa w kształcie rotundy (stąd nazwa całego kompleksu). W każdą sobotę i niedzielę odbywały się tam słynne studenckie potańcówki, na które przychodziła brać studencka z różnych krakowskich uczelni. Do tańca przygrywał zespół złożony z profesjonalnych muzyków, najczęściej znanych jazzmenów. Bilety wstępu były drogie jak na studencką kieszeń, toteż wymyśliliśmy z kolegami nielegalny sposób dostawania się na te atrakcyjne imprezy. Od strony dziedzińca, na wysokości drugiego piętra należało wyjść przez okno, stanąć na parapecie, a następnie przejść do sąsiadującego z nim okna sali imprezowej, które najczęściej było uchylone. Ryzykowne to było przedsięwzięcie, ale czegoż się nie robi dla zaoszczędzenia paru złotych.

W „Rotundzie” obowiązywała zasada, że studenci najniższych lat studiów mieszkali na najwyższym piętrze. Jako że budynek nie posiadał windy, był to swoisty haracz płacony przez nowicjuszy. W miarę studenckiego awansu i przechodzenia na wyższe lata studiów schodziło się na niższe piętra. Na pierwszym piętrze mieszkała zatem studencka elita – studenci roku dyplomowego. Niestety, nigdy nie było mi dane zejść poniżej piątego piętra, i to nie dlatego, że przestałem piąć się we wspomnianej studenckiej hierarchii. W kolejnym roku przeniesiono nas do domu studenckiego AGH na Zakrzówku. Akademik ten miał opinię najgorszego w Krakowie, głównie z uwagi na odległość od miasta, niedogodności związane z dojazdem oraz skromne warunki sanitarne.

KRAKOWSKI ZAKRZÓWEK. POWRÓT DO ROTUNDY

Południowo-zachodnia dzielnica Krakowa – Zakrzówek – w tamtych czasach nie przypominała tej dzisiejszej, zabudowanej nowoczesnymi apartamentowcami, supermarketami, z licznymi bankami oraz mnóstwem różnego rodzaju firm, i była raczej biedną podkrakowską wsią z drewnianymi chałupami, prymitywnie poogradzаныmi działkami oraz polami uprawnymi. Dojeżdżało się tam autobusem linii 114, a więc tak jak dzisiaj, tyle że przestarzałe autobusy okropnie trzęsły, niezdolnie kopciły i kursowały znacznie rzadziej. Z przystanku trzeba było jeszcze spory kawał drałować na piechotę do stojącego w polach piętrowego, obskurnego budynku byłych koszar wojskowych.

Wszystkie opisane wyżej mankamenty i niedogodności miejsca „gdzie diabeł mówi dobranoc” rekompensowało mi doskonale powietrze, sąsiedztwo uroczych Skalek Twardowskiego oraz znakomity skład osobowy pokoju, w którym przyszło mi mieszkać przez kolejny rok studiów.

W czteroosobowym pokoju moimi współlokatorami byli organiści – Joachim Grubich i Leszek Werner oraz pianista Jacek Weiss. Chimek studiował w klasie organów rektora Bronisława Rutkowskiego, Jacek miał szczęście być uczniem Zbigniewa Drzewieckiego, zaś Leszek uczył się u dziekana Chwedczuka.

Chimek chwalił swojego Mistrza za zaangażowanie i artyzm; opowiadał mi, że lekcje z nim są żywe, pełne niespodzianek, a muzycznie inspirujące. My – przedstawiciele innych specjalności – ceniliśmy „Bronia” Rutkowskiego za arcyciekawe wykłady z literatury muzycznej, na które tłumnie uczęszczali studenci wszystkich lat studiów. Choć nie posiadał profesor łatwości mówienia, bywało, że się zacinał, często gubił wątek (mając w głowie nieskończenie wiele muzyki oraz wiedzy na

jej temat, często odchodził od tematu i z roztargnienia do poprzedniej myśli często już nie wracał), miał obszerną wiedzę i przekazywał ją w sposób niezwykle interesujący. Dużo przy tym było słuchania oraz analizowania nagrań. A trzeba dodać, że nie było w tamtych siemknięto komunistycznych czasach takiego dostępu do materiałów fonograficznych, jaki młodzież ma dzisiaj, żyliśmy przecież w izolacji od świata zachodniego i niewiele z tego, co działo się poza Polską, do nas docierało. Słuchaliśmy na tych zajęciach wybitnych muzyków – śpiewaków Enrica Caruso, Fischera-Dieskaua, sopranistki Marii Callas, wiolonczelisty Pabla Casalsa, nieznanych nagrań Jaschy Heifetza, Yehudi Menuhina, Izaaca Sterna. Dysponował profesor ogromną ilością płyt oraz nagrań magnetofonowych, które bądź to sam przywoził z zagranicznych wojaży, bądź otrzymywał od zaprzyjaźnionych muzyków z różnych krajów. Wykłady rektora Rutkowskiego to jeden z najjaśniejszych punktów w moim pięcioletnim okresie studiów.

Podobnie jak wykłady odbieraliśmy jego recitale we „Floriance”. Nie było koncertu, na którym coś by się nie wydarzyło – albo wyłączono prąd, albo organy się zacięły, albo profesor nie zdążył włączyć odpowiedniego rejestru. Niezależnie od tych w sumie mało istotnych przypadłości występy rektora Rutkowskiego były zawsze dużym przeżyciem artystycznym. Na większości jego recitali pamiętam nadkomplet słuchaczy, ludzie tłoczyli się, stojąc wzdłuż ścian, niektórzy siedzieli na ziemi. Oczywiście wyczuwało się w tym również pewien podtekst polityczny – organy jako instrument kościelny były magnesem przyciągającym publiczność. Wielka szkoda, że po renowacji „Florianski” i uprzednim ich zdemontowaniu organy nie wróciły już na swoje miejsce.

Z profesorem Jacka Weissa – Zbigniewem Drzewieckim – nie miałem okazji zetknąć się bliżej, spotykałem go jedynie od czasu do czasu na korytarzu uczelni. Był już wtedy w podeszłym wieku, poruszał się

z pewnymi trudnościami, używając charakterystycznej laseczki. W stosunku do swoich studentów był podobno bardzo wymagający, wzbudzał ogromny respekt, a u niektórych nawet strach.

Jacek – w latach dziewięćdziesiątych, za rządów Jerzego Buzka, wiceminister kultury i sztuki – znany był z pilności i pracowitości. Mówiło się o nim, że jest prawdziwym tytanem pracy. Życie towarzyskie, studenckie szaleństwa zupełnie go nie interesowały. Nastawił się na ćwiczenie i temu zajęciu oddawał się bez reszty. Na pierwszym piętrze, na wprost schodów znajdowała się jedna z niewielu uczelnianych ćwiczeniówek. Nazywaliśmy ją łazienką, ponieważ ściany jej wyłożone były białymi kafelkami. Jacek przychodził do szkoły przed siódmą rano, pierwszy ją zajmował i nie dopuszczał nikogo przez cały dzień, traktując jak swoją własność. Złościło to niektórych kolegów, którzy nie mieli gdzie ćwiczyć. Wynikały z tego nieporozumienia, a kilka razy nawet poważniejsze konflikty. Jackowi zawsze jakoś udawało się wychodzić z nich obronną ręką i w dalszym ciągu okupował „łazienkę”. Osiem godzin grania to była jego dzienna norma. Jacek był podziwiany przez kolegów, ale przyjaciół w uczelni raczej nie miał.

Zagadnąłem go kiedyś na temat profesora Drzewieckiego, chcąc dowiedzieć się czegoś o tym legendarnym pedagogu. Interesowało mnie, jak przebiegają jego lekcje, czego wymaga od studentów i w ogóle jakim jest człowiekiem. Oprócz tego, że profesor bywa na lekcjach srogi, a jeśli chodzi o uwagi i zalecenia kierowane do studentów, że jest bardzo konkretny, niczego więcej od Jacka nie zdołałem wyciągnąć. Opowiedział mi natomiast historię, jak to jedna z niezbyt wysokich uczennic profesora, aby siedzieć przy klawiaturze wyżej, podłożyła sobie dwa tomy sonat fortepianowych Beethovena. Zauważył to profesor i zwrócił się do niej tymi słowami: „Proszę to wyjąć spod siebie! To nie są nuty na instrument dęty...”.

Pewnego dnia obiegła szkołę sensacyjna wiadomość, że Biniowi (tak pieszczotliwie profesora nazywali uczniowie), który mógł mieć już wtedy około osiemdziesięciu lat, urodził się syn (żona profesora była od niego znacznie młodsza). Jakiś czas po tym wydarzeniu zaczęła krążyć po szkole anegdota o spotkaniu Drzewieckiego ze znanym z ciętego języka i efektownych ripost wiolonczelistą – Kazimierzem Wiłkomirskim. Postaram się tutaj odtworzyć ich rozmowę.

– Gratuluję, Zbysiu, podobno żona urodziła ci syna? – zwrócił się do Drzewieckiego Wiłkomirski swoim charakterystycznym dyszkancikiem.

– Tak, i jestem dumny z tego powodu – odparł Drzewiecki.

– A kogo podejrzewasz? – złośliwie spytał Wiłkomirski.

Nie zdziwiłbym się, gdyby poszła wtedy w ruch słynna laseczka profesora...

Do liczących się klas fortepianu w uczelni należała klasa Henryka Sztompki – ucznia Ignacego Jana Paderewskiego, laureata Konkursu Chopinowskiego w 1927 roku. Profesor posiadający aparycję aktora filmowego, zawsze nienagannie ubrany, znany był z tego, że na lekcjach stwarzał atmosferę pełną uduchowienia, specyficznego entuzjazmu do muzyki, a nawet swego rodzaju egzaltacji. Przyciągał tym całe zastępy młodych ludzi, wśród których przeważała płeć piękna. Panowała w uczelni opinia, że większość studentek profesora podkochiwało się w swoim Mistrzu. O artystycznej atmosferze na lekcjach profesora Sztompki oraz jego hipnotycznym działaniu na wychowanków krążyły po szkole legendy.

A wracając do organistów, wspomnę jeszcze o jednym z pedagogów – Janie Jargoniu. Niewysokiego wzrostu, okrągły na twarzy i zawsze rumiany, był Jargoń typem organisty, dla którego najbardziej odpowiednie wydaje się określenie: sprawny instrumentalista. Lubił występować i wyglądało na to, że świetnie czuje się na estradzie. Wchodził na nią zawsze dziarskim, pewnym krokiem. Bywałem na jego koncertach, któ-

re stały na dobrym poziomie, choć trudno byłoby nazwać je artystycznymi wydarzeniami. Po wykonanym programie miał pan Jargoń zwyczaj wielokrotnie bisować (prawdopodobnie uważał, i do pewnego stopnia miał rację, że ilość bisów stanowi miarę artystycznego sukcesu). Stosował następującą taktykę: po skończonym programie tylko na moment schodził z estrady, zaraz szybkim krokiem na nią wracał, zasiadał do kontuaru i zaczynał grać. Na kolejnych brawach tylko na kilka sekund schodził z estrady, by znowu szybko znaleźć się na niej i wykonać następny bis. Powtarzało się to cztery, niekiedy pięć razy i za każdy razem bawiło publiczność. Tylko natychmiastowe przerwanie braw mogło zakończyć to wymuszone bisowanie. Po jednym z koncertów Jargonia w „Dzienniku Polskim” ukazała się recenzja, w której krytyk, przychylnie ustosunkowując się do wykonania poszczególnych punktów programu, na końcu z przekąsem dodał, że „artysta przesadził z gorliwością bisowania”.

Oprócz Umińskiej i Felińskiego klasę skrzypiec w krakowskiej uczelni prowadził Stanisław Tawroszewicz – człowiek dość prosty i jak na artystę niezbyt subtelny. Studenci wyrażali się o swoim profesorze na ogół pochlebnie, chociaż w stosunku do niektórych potrafił być bardzo nieprzyjemny, a nawet ordynarny. Znany był z tego, że nie cenił pianistów, a o fortepianie wyrażał się z najwyższą pogardą, nazywając go instrumentem perkusyjnym (wszystkich uczelnianych pianistów, od studentów, poprzez akompaniatorów, po panów profesorów, miał oczywiście przeciwko sobie). Jedną ze studentek profesora Tawroszewicza była moja koleżanka z roku – Daria. Często widywałem ich wieczorem wychodzących ze szkoły razem. Było tajemnicą poliszynela, że oboje mają się ku sobie i stanowią parę. Romans ten zakończył się małżeństwem siedemdziesięcioletniego profesora z dwudziestokilkuletnią studentką. A tak nawiasem, ową nieznaną, która przed egzaminem wstępnym odradza-

ła mi studia u profesora Felińskiego, była właśnie Daria. Uświadomiłem to sobie na jednych z pierwszych wspólnych zajęć.

W latach pięćdziesiątych, kiedy to byłem jeszcze uczniem katowickiej szkoły muzycznej, Tawroszewicz założył był Kwartet Krakowski. Zespół regularnie raz w miesiącu występował we „Floriance”. Na jednym z koncertów miało miejsce zdarzenie, które poruszyło krakowskie i nie tylko krakowskie środowisko muzyczne. Po zajęciu przez artystów miejsc na estradzie Tauros (takiego używał Tawroszewicz pseudonimu artystycznego) wypatrzył siedzącego na widowni krytyka i śpiewaka w jednej osobie – Stanisława Lachowicza, podszedł do niego, uderzył go w twarz i siłą wypchnął z sali. Okazało się, że w recenzji z ostatniego koncertu, na którym muzycy wykonali między innymi kwartet Mozarta, obok szeregu inwektyw i niepoehlebnych stwierdzeń znalazło się następujące zdanie: „W kwartecie *Polowanie* Stanisław Tawroszewicz popełnił harakiri na Mozarcie”.

Po usunięciu z sali niepożądanego osoby Tawroszewicz wrócił na estradę i odegrał partię pierwszego skrzypka, jakby nic się nie stało. Pisano o tym muzycznym „wydarzeniu” na pierwszych stronach gazet całej Polski. Ja przeczytałem o nim w katowickiej popołudniówce „Wieczór”; tytuł krótkiego artykułu brzmiał *Muzyk pobił recenzenta*.

* * *

Jesienią 1960 roku odbył się w Auli Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu I Ogólnopolski Festiwal Wyższych Szkół Muzycznych. Na festiwalu krakowską uczelnię reprezentowała duża grupa studentów, w której znalazłem się i ja (z towarzyszeniem studenckiej orkiestry kameralnej wykonałem *Zimę* z cyklu *Cztery pory roku* Antonia Vivaldiego).

Wyjazd do Poznania poprzedził miesięczny okres przygotowań, a orkiestrą studencką dyrygował Krzysztof Missona. Już na pierwszej próbie wyniknął poważny problem: dyrygent nie chciał zaakceptować moich temp w szybkich częściach koncertu. Twierdził, że zespół nie może za mną nadążyć, a w ogóle Vivaldiego nie gra się tak szybko. Upierałem się przy swoim i za nic nie chciałem grać wolniej. Przed wyjazdem do Poznania odbyła się we „Floriance” próba generalna, na której zjawił się rektor Rutkowski. Nie wykluczam, że poproszony został przez Missonę w celu rozstrzygnięcia naszego muzycznego sporu. Zagraliśmy *Zimę* w całości, po czym Missona zwrócił się do siedzącego w końcu sali rektora:

– Prawda, że to za szybko?

– Nie, wcale nie za szybko – odpowiedział rektor, po czym zwrócił się do mnie:

– Proszę tak grać, tak jest bardzo dobrze.

Missona musiał ustąpić, a ja w Poznaniu mogłem grać „swoje”. Dziś skrzypkowie grają te znane koncerty Vivaldiego jeszcze szybciej (na przykład Kennedy, Mutter, Wengerow). Nieodżałowany rektor Bronisław Rutkowski zmarł w 1963 roku w Lipsku w trakcie tournée koncertowego.

* * *

W latach sześćdziesiątych wystąpiła w naszym mieście cała plejada światowej sławy artystów. Nie było roku, aby kilku najwybitniejszych muzyków nie odwiedziło Krakowa. Chadzałem regularnie na koncerty muzycznych sław, porównywałem ich interpretacje, starałem się podpatrywać, jak grają. Poza nauką była to znakomita motywacja do pracy: po występie wybitnego instrumentalisty czułem jakby przyplływ artystycznej energii, przybywało chęci do ćwiczenia.

Jedną z większych atrakcji krakowskich sezonów koncertowych były występy francuskiego organisty Jeana Guillou. Recitale jego ściągały do „Florianki” prawdziwe tłumy i były wydarzeniami artystycznymi najwyższej rangi. Publiczności podobało się to, że grał on z pamięci, że sam zmieniał sobie registry (nasi organiści zawsze posilkowali się pomocnikami) i nie potrzebował do tego kartki. Guillou miał ogromną łatwość manualną i grał z niespotykaną fantazją. Znakomicie też improwizował, i to na tematy podawane wprost z sali. Koledzy organiści kręcili jednak nosami i każdorazowo doszukiwali się w jego grze jakichś mankamentów. Trudno mi było zgodzić się z ich krytyką, toteż zażarcie się z nimi spierałem. Styl gry Guillou był rzeczywiście szokujący i niewiele miał wspólnego z akademicką poprawnością. Może właśnie dlatego krakowska publiczność tak szalała na jego punkcie.

Pod koniec lat pięćdziesiątych prawdziwą ucztą duchową dla krakowskich melomanów był występ Kwartetu Juilliarda (zespół grał jeszcze w swoim pierwotnym składzie: skrzypkowie – Robert Mann i Earl Carlyss, altowiolista Rafael Hillyer i wiolonczelista Claus Adams). Jedna rzecz zwróciła wtedy moją uwagę. Otóż w pierwszej części znakomicie wykonanego kwartetu Mozarta drugi skrzypek, odbierając temat od pierwszego, grał go odwrotnymi smyczkowaniem i w dodatku inną częścią smyczka, przy czym efekt brzmieniowy był identyczny. Stanowiło to dla mnie niezbity dowód wyższości wyobraźni nad techniką.

Niedługo potem przyjechał do Krakowa Bronisław Gimpel, przywołując *Koncert D-dur* Beethovena. Jego występ zrobił na mnie ogromne wrażenie i do dziś pamiętam go w najdrobniejszych szczegółach. Grę Gimpla można było określić jako wielką i porywającą, a jeśli do tego dodać urzekająco piękny dźwięk i absolutną pewność techniczną, bę-

dziemy mieli pełny obraz tamtego występu. Kilka miesięcy później nagrał on z krakowską „radiówką” płytę z utworami Wieniawskiego, i są to interpretacje do dziś niedoścignione.

Prawdziwym świętem dla krakowskich melomanów był przyjazd do Krakowa Artura Rubinsteina. Artysta grał *Koncert f-moll* Chopina. Towarzysząca mu Orkiestra Filharmonii Krakowskiej wzniosła się tego wieczoru na wyżyny swoich umiejętności, a pierwszy waltornista pan Peciulewicz perfekcyjnie wykonał swoje solo w III cz. *Koncertu*. To, co uderzyło mnie w grze Mistrza, to śpiewność, i to zarówno w kantylenie, jak i w wirtuozowskich pasażach. Popisy techniczne Rubinstein odsuwał na dalszy plan, eksponując dźwięk i po mistrzowsku operując rubatem. Na pokoncertowej konferencji prasowej, na pytanie jednego z krytyków: „dlaczego Mistrz gra tak wolno etiudy Chopina?”, Rubinstein miał odpowiedzieć: „bo potrafię”. Pamiętam, że wtedy, w Krakowie, jako pierwszy bis artysta zagrał *Etiudę C-dur* (pasażową), a na koniec w sposób absolutnie brawurowy wykonał *Taniec ognia* Manuela de Falli. Ręce Mistrza fruwały w powietrzu, toteż po ostatnich dźwiękach publiczność dosłownie szalała z zachwytu.

Muzyczną ucztą można nazwać występ Isaaca Sterna, który zagrał z Filharmonią dwa koncerty – Mozarta (*G-dur*) i Brahmsa. Na bis „dorzucił” *Ciacconę* Bacha. Występ Sterna był prawdziwą sensacją i wrażenia tego nie zatarł nawet fakt, że już na początku *Koncertu* Brahmsa artysta pomylił się. Za to potem grał „jak anioł”. Również Mozart w jego wykonaniu przypadł mi do gustu. Był to Mozart „krwisty”, grany z nerwem, całkowite przeciwieństwo tak zwanego stylu historycznego.

W tym samym mniej więcej czasie wystąpił w Krakowie Henryk Szeryng. Na jednym wieczorze wykonał trzy koncerty: Bacha (*E-dur*), Beethovena i Brahmsa (tak zwane trzy wielkie B). Występ światowej sławy polskiego skrzypka na stałe mieszkającego w Meksyku wzbudził w Kra-

kowie ogromne zainteresowanie, sala Filharmonii pękała w szwach. Mistrzostwo, jakie zademonstrował Szeryng, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Piękny dźwięk, nieskazitelna technika oraz iście królewska interpretacja zrobiły na wszystkich ogromne wrażenie. Zagrana na bis *Fuga g-moll* Bacha była prawdziwym majstersztykiem.

W jednym z kolejnych sezonów koncertowych zawitali w Krakowie Dawid i Igor Ojstrachowie. Piękny to był skrzypcowy wieczór. Na początek artyści zagrali jeden z koncertów na dwoje skrzypiec Vivaldiego, a następnie Igor – zwycięzca II Konkursu im. Wieniawskiego – wykonał w sposób perfekcyjny *Koncert D-dur* Brahmsa. Podziwiałem jego pewność techniczną oraz zdecydowanie w pociągnięciu smyczka. Zaimponować mógł też olimpijskim spokojem i opanowaniem. W drugiej części wieczoru Dawid Ojstrach zaprezentował *I Koncert* Prokofiewa, czarując miękkim dźwiękiem, świetnym wyczuciem nastrojów i wprawiając wszystkich w zachwyt łatwością w pokonywaniu najtrudniejszych pasażów. Obaj radzieccy skrzypkowie grali na najprawdziwszych „Stradivariusach”.

Do koncertów, które utrwaliły się w mojej pamięci bodaj najmocniej, zaliczam recital beethovenowski Światosława Richtera, który odbył się około roku 1969. W tamtym czasie ten światowej sławy pianista prawie co roku występował w Krakowie i za każdym razem były to tak zwane Koncerty Nadzwyczajne, ogłaszane przez Filharmonię w ostatniej chwili. Podejrzewam, że udając się z koncertami do Berlina, Paryża czy Londynu, Richter zatrzymywał się w Krakowie i po prostu ogrywał program. Swój recital rozpoczął stosunkowo prostą *Sonatą C-dur*, którą odegrał w sposób błyskotliwy, lekki, wręcz olśniewający. Następnie była słynna *Appassionata*, zagrana z niespotykanym dramatyzmem i dynamicznymi kontrastami, zaś w drugiej części artysta wykonał wielką *Sonatę B-dur (Hammerklavier)*. I w tym wypadku była to potęż-

na dawka wspaniale wykonanej muzyki. Po kończącej kompozycję, najeżonej trudnościami *Fudze* publiczność oszalała z zachwytu. Na bis artysta zagrał tę właśnie *Fugę* raz jeszcze (można przypuszczać, że z pierwszego swojego wykonania był niezadowolony). Opowiadał mi jeden z pracowników Filharmonii, że po skończonym recitalu Richter wyprosił wszystkich z gmachu, zamknął się w Złotej Sali i do godziny drugiej w nocy ćwiczył. I wiemy już, skąd brała się wielkość radzieckich artystów...

Dobrze też pamiętam wspaniały recital Mścisława Roztropowicza z pianistą Walerym Dieduchinem. Prawdziwie po mistrzowsku zegrali *Sonatę g-moll* Chopina, *Wariacje Rococo* Czajkowskiego oraz kilka wiolonczelowych hitów. Roztropowicz występował w Krakowie po raz pierwszy i nie był jeszcze u nas znany. Do Filharmonii przyszło wtedy zaledwie pięćdziesiąt osób (!).

W czasach komuny wybitni radzieccy artyści mieli obowiązek występowania w prowincjonalnych miasteczkach Związku Radzieckiego. Wysyłała ich tam komunistyczna władza w celu szerzenia kultury wśród robotników i chłopów. Opowiadało się następującą zabawną historię związaną z tą parą znakomitych artystów: Pewnego razu przyjechali oni do niewielkiej osady na dalekiej Syberii, gdzie mieli wystąpić w świetlicy fabrycznej. Sala była pełna, ponieważ spędzono do niej załogę, ale okazało się, że na estradzie nie ma fortepianu. Na zapleczu znalazł się natomiast akordeon. Chcąc ratować koncert, Dieduchin zdecydował się akompaniować wiolonczeliście na tym, jakby nie było, również klawiszowym instrumencie. W trakcie koncertu z końca sali wyruszył w kierunku estrady robociarz w kufajce i gumiakach, zatrzymał się przed Roztropowiczem i machnąwszy ze zniecierpliwieniem ręką, krzyknął: „Ej, tawariszcz, nie mieszaj, daj harmoszkę posłuchać!”

* * *

Wspomnienia „z wojska” należą do jednych z barwniejszych w moim życiorysie, toteż wyjątkowo wyraziście utrwaliły się w mojej pamięci.

Studenci trzech krakowskich uczelni artystycznych – Wyższej Szkoły Muzycznej, Akademii Sztuk Pięknych i Wyższej Szkoły Teatralnej – mieli w tamtych latach wspólne zajęcia w Studium Wojskowym UJ-tu. Szkolenie odbywało się raz w tygodniu, a całe przedsięwzięcie trwało trzy lata.

Na pierwszym roku dowódcą plutonu artystów był major Siwak. Nie zapisał się on dobrze w naszej pamięci. Był człowiekiem ograniczonym, złośliwym i całkowicie pozbawionym poczucia humoru. Traktował nas źle, karał za byle co, a jeśli chodzi o ocenianie, był wyjątkowo niesprawiedliwy. Za wszystkie doznane przykrości zrewanżowaliśmy mu się w typowo studencki sposób: użyliśmy jego nazwiska na określenie jednostki inteligencji, przy czym noga stołowa miała w tej naszej skali cztery „siwaki”.

Pamiętam zajęcia, na których rozkładaliśmy na części ręczny karabin maszynowy (rkm). Lufa tego urządzenia, posiadająca lejkowate poszerzenie na końcu, skojarzyła mi się z instrumentem dętym i w chwili, kiedy w sali zaległa cisza, ja donośnie na niej zatrąbiłem. Major Siwak rzucił się na mnie, złapał za poły drelichowego munduru, zaczął szarpać, wrzeszcząc bez opamiętania. Wyrzucił mnie z zajęć i rozkazał zgłosić się u kierownika Studium Wojskowego. Udałem się do pułkownika Mokrzyckiego, spodziewając się poważnych konsekwencji, a w najlepszym wypadku wojskowej bury. Stając na baczność zameldowałem o tym, co zrobiłem. Po moim zapewne groteskowo brzmiącym meldunku pułkownik serdecznie się roześmiał, pozwolił mi usiąść i chwilę już całkiem poważnie rozmawiał ze mną o moich planach życiowych oraz perspek-

tywach zawodowych po skończeniu studiów. Poradził mi, abym tego dnia nie wracał już na zajęcia i wykorzystał ten czas na coś bardziej pożytecznego. Jak widać, był pułkownik oficerem mądrym i wyrozumiałym, co w wojsku nieczęsto się zdarza. Doskonale wiedział, że z nas – przyszyłych artystów – żołnierzy tutaj nie zrobią.

Wracając do majora Siwaka, jego niski poziom intelektualny oraz ewidentne braki w wykształceniu dawały o sobie znać na każdym kroku. Studenci wszystkich lat przekazywali sobie jego językowe lapsusy i powiedzonka, a trzeba dodać, że podobnie jak większość oficerów Ludowego Wojska Polskiego, mówił on z rosyjskim akcentem. Oto jak zwrócił się kiedyś do rozbawionych czymś szeregowców: „Ej, studjenty, wy sje ze mnie nie nasmiewajcje, bo ja już na niejednym ujojce wykładałem”.

Na drugim roku dowódcą naszego plutonu został major Proniewicz – człowiek prymitywny, ale raczej dobroduszny i z usposobienia łagodny. Jego pasją była musztra i w niej prawdziwie się wyżywał. Na zajęciach najczęściej ćwiczył z nami ustawianie się w dwuszeregu, „trzymanie” linii, marsz w szyku zwartym, zwroty we wszystkie możliwe strony (w tył obowiązkowo musiało być na pięcie), a także zatrzymywanie się na komendę „plutooon stój!”

Pewnego razu na zajęciach w terenie postanowił nauczyć nas prawidłowego czołgania się. Ćwiczenia odbywały się na Pasterniku w czasie deszczowej pogody. Major, jak zwykle, zaczął od pokazu. Padł na ziemię, aż jęknęło, a następnie przepisowo przeczołgał się przed całym plutonem. Gdy wstał, jego czyste i wyprasowane wojskowe spodnie w wielu miejscach były usmarowane błotem, a zza metalowych guzików oficerskiej bluzy zwisały kępy trawy. Z trudem hamowaliśmy śmiech.

Innym razem odbywaliśmy na Błoniach ćwiczenia taktyczne. Przed zajęciami każdy z szeregowców pobrał z magazynu broń („kałasznikowy”) oraz sztucznie obciążony, ważący dobrych parę kilogramów wojsko-

wy plecak. Był upalny dzień, toteż kilkugodzinne ćwiczenia na słońcu zmęczyły wszystkich. Po zajęciach major zarządził odpoczynek na ławeczkach przy alejce wzdłuż Błoń. Rozsiedliśmy się wygodnie, a ja uwolniłem umęczone ramiona od ciężkiego plecaka oraz „kałasznikowa”, kładąc broń na ławce za sobą. Po przerwie zarządzono zbiórkę, po czym w zwartym szyku odmaszerowaliśmy do Studium Wojskowego w piwnicach Collegium Novum. Przy zdawaniu pobranego z magazynu ekwipunku zorientowałem się, że nie mam swojego „kałasznikowa”, który prawdopodobnie pozostał na ławce. Oblał mnie zimny pot. Nikomu nic nie mówiąc, wsiałem do tramwaju i najszybciej jak było to możliwe wróciłem na alejkę przy Błoniach. Na moje szczęście broń leżała w tym samym miejscu, gdzie położyłem ją przed pół godziną. Byłem uratowany! Nie chcę nawet myśleć o tym, co byłoby ze mną, gdybym jej tam nie znalazł.

Największą zmurą tego przyuczania nas do wojska było ranne wstawanie. Żeby zdążyć na siódmą, należało wstać co najmniej godzinę wcześniej. Na pierwszych dwóch godzinach, jeśli były to wykłady, większość z nas walczyła ze snem. Pewnego razu na pierwszej godzinie jakichś nudnych zajęć teoretycznych siedzący w końcu sali student Szkoły Teatralnej Paweł Nowisz wywołany został do odpowiedzi. Gdy padło jego nazwisko, nawet nie drgnął; siedział wpatrzony w jeden punkt. Dopiero trącony przez sąsiada ocknął się, nie wiedząc, co się dzieje. Okazało się, że potrafi spać z otwartymi oczami. Prosiłem Pawła, żeby nauczył mnie tej sztuczki, ale widocznie nie posiadałem tego typu „aktorских” zdolności, bo za każdym razem kiedy zasypiałem, oczy mi się zamykały, a głowa ciężko opadała na ramiona.

Tego roku na wiosnę odbyły się zawody strzeleckie z pistoletu TT, tak zwanej tetetki. Chodziło o wyłonienie najlepszych strzelców w plutonie i wysłanie ich na jakieś międzyuczelniane zawody strzeleckie. Eliminacje odbyły się na strzelnicy na Woli Justowskiej. Pech chciał, że na

jednym z dystansów uzyskałem najlepszy wynik. Nie miałem najmniejszej ochoty brać udziału w tego typu zawodach i powiedziałem o tym szefowej uczelnianych sekretarek Wandzie Urbańskiej. Pani Wanda na poczekaniu „wymyśliła” mi bardzo ważny koncert, zatelefonowała do kierownika Studium i uprosiła zwolnienie z zawodów. Wspaniała to była osoba. Po rektorze i dziekanie była pani Wanda najważniejszą osobą na uczelni. Z pozoru surowa, niekiedy szorstka, miała złote serce i wielokrotnie pomagała studentom w trudnych sytuacjach. Choć tyle już lat upłynęło od opuszczenia przeze mnie murów uczelni, wspominam ją z niegasnącą sympatią.

Sześciotygodniowy wakacyjny pobyt w Jednostce Wojskowej w Bukówce pod Kielcami kończył moją przygodę z wojskiem. Trudny to był dla mnie czas. Mimo że zaraz pierwszego dnia każdy z nas otrzymał awans na starszego szeregowca, w dalszym ciągu byliśmy wojskowymi zerami w oczach naszego przełożonego – młodego sierżanta. Chłopak prawdopodobnie posiadał kompleks na punkcie wykształcenia i wyżywał się na nas przy każdej nadarzającej się okazji. Zaczynało się od rannego wstawania; nie było mowy, aby poleżeć w łóżku jeszcze choćby kilka sekund od pobudki. A wrzeszczał na nas niczym obozowy kapo. Swoje łóżka ścieliliśmy po kilka razy, za każdym razem coś mu się nie podobało. Następna sprawa to buty – zawsze według niego niedoczyszczone, zbyt mało błyszczące. Jeśli chodzi o mundur, potrafił na nim dojrzeć najmniejszą plamkę lub zagięcie materiału. Pas – oczywiście zawsze za mało ściągnięty. I tak bez końca. Po dwóch tygodniach nie zdzierzyliśmy jego złośliwości i złożyliśmy skargę do dowódcy kompanii. Ten przekazał ją do dowódcy jednostki i po kilku dniach wyznaczono nam nowego dowódcę – spokojnego i bardziej wyrozumiałego kapitana-chemika. Od momentu objęcia przez owego oficera dowództwa plutonu skończyły się szykany, a pobyt w jednostce stał się nieco mniej uciążliwy.

W dalszym ciągu źle jednak znosiłem to wyrwanie z normalnego życia, a także ciągle przebywanie w dużym zbiorowisku ludzkim. Cierpiałem z kilku powodów: po pierwsze, że straciłem kontakt z muzyką (nie było nawet gdzie posłuchać radia); po drugie, że cały dzień musiałem mieć na sobie wymięty i brudnawy wojskowy mundur; po trzecie, że co chwilę musiałem wykonywać idiotyczne polecenia przełożonych (większość z tego, co kazano nam robić, nie miała, według mnie, najmniejszego sensu i była jedynie znęcaniem się nad nami i ogłupianiem). Dłuższy czas nie mogłem też przyzwycząić się do spania w ponadtrzydziestoosobowej sali. W nocy budziły mnie odgłosy chrapania i głośnego wypuszczania gazów. Nie odpowiadała mi też wojskowa kuchnia, szczególnie kwaśny, gliniasty chleb. U niektórych powodował on sensacje jelitowe. Związana z tym pospolita przypadłość dotknęła dwóch starszych szeregowców; jednego z nich nazwaliśmy dyrektorem, drugiego kierownikiem... gazowni. Nie przepadałem też za pracą w kuchni, choć obieranie ziemniaków, zmywanie naczyń oraz wycieranie podłóg były w tym wszystkim czynnościami najbardziej jeszcze pożytecznymi.

Na dwa tygodnie przed PRL-owskim Świętem Narodowym (22 lipca) grupa muzyków, aktorów i plastyków wytypowana została do przygotowania na ten dzień programu artystycznego. Próby odbywały się w znajdującym się poza jednostką Domu Kultury. Na porannej zbiórce padała komenda: „Artyści wystąp! Na salę prób odmaszerować!”, po czym niewielki oddział artystów, przepisowo uformowany, przepuszczany był przez główną bramę, udając się na próbę. Całe przedpołudnie cieszyliśmy się wolnością, a pozostawieni w jednostce koledzy zazdrościli nam. Utworzony został zespół muzyczny, w którym mnie przypadło grać na kontrabasie. Szarpałem zapamiętałe struny tych „największych skrzypiec”, a pęcherze, które zrobiły mi się na palcach obu rąk, dokuczały mi jeszcze potem przez wiele dni. Koledzy-aktorzy porozdzielali pomiędzy siebie poszczególne

role, i tak zaczął konkretyzować się około godzinny program poetycko-muzyczny. Pamiętam, że przyszli aktorzy – Jaś Krzyżanowski, Janek Jaruzel i Andrzej Kłosowicz – śpiewali stare szlagiery, Wojtek Alaborski, jako że nie miał najlepszego słuchu, próbował recytować jakieś satyryczne wiersze, a plastycy – Mietek Górowski i Wojtek Koperski – ze znalezionych na zapleczu różnokolorowych bibułek oraz kartonów wykonywali okolicznościowe dekoracje; całością kierował przyszły reżyser Bogdan Hussakowski.

Dzień 22 lipca zaczął się od uroczystej przysięgi, na którą przybył kierownik Studium Wojskowego UJ-tu, pułkownik Mokrzycki. Tego dnia każdy z nas żegnał się ze stopniem starszego szeregowca, otrzymując z rąk pułkownika awans na kaprała podchorążego. Jeden z kolegów muzyków, wojskowy prymus, we wszystkim zawsze najlepszy, pierwszy na każde zawołanie przełożonych (od wymieniania jego nazwiska powstrzymam się – starszy dziś pan mógłby nie być zadowolony), był tym faktem bardzo przejęty; specyficzną miał chłopak wrażliwość i według mnie, minął się z powołaniem. W momencie wręczania nominacji kapraleskiej, kiedy należało energicznie stuknąć obcasami i wykrzyknąć „ku chwale Ojczyzny!”, biedakowi z emocji i wzruszenia głos uwiązł w gardle. Wszyscyśmy to zauważyli, niektórzy podśmiewali się z niego, inni mu współczuli. Przyznam, że ja oraz większość kolegów przeżywaliśmy ten dzień na wesoło, traktując wojskowy awans i całą tę „maskaradę” niezbyt poważnie i z przymrużeniem oka; bawiło nas to raczej i śmieszyło.

W godzinach popołudniowych, na wolnym powietrzu, w obecności kadry oficerskiej odbył się nasz występ. Na prymitywnej, skonstruowanej z surowych desek estradzie powyglądaliśmy się wobec kolegów oraz panów oficerów i wreszcie całkowicie się wyluzowaliśmy. Dla mnie to było punktem kulminacyjnym całej tej uroczystości.

Po dwóch tygodniach pewnej swobody, kiedy to oderwaliśmy się od wojskowych rozkazów, zbiórek, musztr i okropnie nudnych zajęć teore-

tycznych, wróciła wojskowa codzienność. Otuchy dodawała świadomość, że dni ubywa, a upragniona chwila opuszczenia jednostki zbliża się.

Do względnie atrakcyjnych należały trzy doby spędzone na prawdziwym poligonie. Spało się w wieloosobowych namiotach na rozkładanych drewnianych pryzkach, a za okrycia służyły nam brezentowe pałatki. Całymi dniami, a kilka razy także w godzinach nocnych, wykonywaliśmy pozorowane ataki na wymagowanego wroga, zaś amunicję stanowiły „ślepe” naboje i imitujące granaty tekturowe petardy. Zabawa była niezła, ale hałas, jak na moje uszy, zdecydowanie za duży. Jeszcze kilka dni po zakończeniu ćwiczeń chodziłem ogłuszony strzelaniną z „kałasznikowów” oraz wybuchami petard.

Najmilszym momentem sześciotygodniowego pobytu w jednostce było zdawanie obskurnych drelichowych mundurów i przebieranie się w cywilne ciuchy. Chwilę później, w huku „wygoszparowanych” w czasie poligonowych ćwiczeń petard, z okrzykami niepomamowanej radości opuściliśmy to niekochane przez większość z nas miejsce.

Byłem szczęśliwy, że jakoś ten trudny dla mnie czas przetrzymałem i mam już za sobą. Po odbyciu trzyletniego szkolenia w Studium Wojskowym UJ-tu oraz wakacyjnym pobycie w jednostce pod Kielcami doszedłem do wniosku, że wojsko to najbardziej ogłupiająca, zabijająca indywidualność, a także wrażliwość instytucja, jaką wymyślono na tym świecie. Jest źle zorganizowana, kosztowna i ogólnie na niskim poziomie; panuje w niej głupota i bezmyślność. Poza tym wyzwala zwierzęce instynkty, niczego tak naprawdę nie uczy, a jeśli już, to zachowań prymitywnych i zwykłego chamstwa. Argumenty typu „patriotyczny obowiązek”, „powinność wobec kraju” zupełnie do mnie nie przemawiały. Od tamtej chwili pożegnałem się z wojskiem na zawsze i bez żalu. Na moje szczęście wojsko przestało się również interesować mną; po studiach nigdy nie otrzymałem „zaproszenia” na dodatkowe ćwiczenia czy szkolenia (nie ominęło to kilku

moich kolegów, a jeden z nich – wspomniany prymus – „dochrapał się” nawet stopnia kapitana), dzięki czemu pozostałem przy skromnym kaprale podchorążym, i to przeniesionym do rezerwy, jak wpisano mi w książeczce wojskowej. – Ku chwale Ojczyzny! – chciałoby się zakrzyknąć.

* * *

Jako student drugiego roku przeżyłem ciekawą muzyczną przygodę – zostałem „wypożyczony” przez krakowską Średnią Szkołę Muzyczną na wyjazd do Austrii. Dyrektorem szkoły był przyjaciel mojego profesora, Juliusz Weber – postać w środowisku muzycznym popularna, jednak mocno kontrowersyjna. Mówiło się głośno o jego zaangażowaniu politycznym, bliskich związkach z władzą komunistyczną, a także dalekim od kryształowej czystości charakterze. Jeden przykład: na początku lat pięćdziesiątych, podczas jego dyrektorowania w krakowskim Liceum Muzycznym, grupa najstarszych uczniów przesiedziała ponad miesiąc w więzieniu na Montelupich. Oskarżono ich o przynależność do nielegalnej organizacji młodzieżowej oraz rzekomą działalność antypaństwową, mimo że nic takiego nie miało miejsca. Wszyscy wiedzieli, że była to sprawka dyrektora Webera.

W latach sześćdziesiątych opowiadano o Weberze taką oto śmieszna historię. Kiedyś znalazł się on w towarzystwie, w którym jedna z osób negatywnie wyraziła się o społeczności żydowskiej. Jul poczuł się urażony i odezwał się: – Tylko proszę nie generalizować. – Wiadomo, że są Żydzi tacy i tacy. I dodał: – Ja, ma się rozumieć, należę do tych „drugich”.

Na koncerty do Austrii jechała orkiestra oraz soliści – flecistka Basia Świątek, podobnie jak ja wypożyczona z Wyższej Szkoły Muzycznej, filharmoniczny pianista i klawesynista Alfred Miller, uczeń Webera,

skrzypek Bogusław Bruczkowski oraz ja (razem z Bogusiem graliśmy *Koncert a-moll* na dwoje skrzypiec Antonia Vivaldiego, a z Basią i panem Millerem *V Koncert brandenburski* Jana Sebastiana Bacha).

Orkiestrę Średniej Szkoły Muzycznej prowadził w tamtym czasie skrzypek Władysław Latała – człowiek wyjątkowo kulturalny, na swój sposób dystyngowany, ale mający opinię egzaltowanego, chodzącego z głową w chmurach. Swoimi nietypowymi zachowaniami, przesadnymi sądami oraz pewną naiwnością często narażał się na śmieszność (na przykład zarzuty o nieprawidłowym aparacie gry zdecydowanie odpie-rał, mówiąc, że żona lekarka prześwietliła mu obie ręce i stwierdziła, że wszystko ma w porządku i na swoim miejscu).

Podróż do Austrii odbyliśmy pociągiem. Do Linzu, gdzie zaplanowa-no pierwszy koncert, dotarliśmy późnym wieczorem. Spaliśmy w jakimś tanim hoteliku turystycznym na peryferiach miasta w wieloosobowych sypialniach. Wystąpiliśmy za to w pięknej sali miejscowego Konserwa-torium, a koncert zakończył się pełnym sukcesem.

Dobre przyjęcie spotkało nas również w Wiedniu (graliśmy w Sali Brahmsa słynnego Musikvereinu). W drodze powrotnej do Polski profe-sor Latała pochwalił mi się, że i on wystąpił w Brahmssaal, wykonując *Koncert* Mozarta. Zainteresowałem się, kiedy to było i jak udał się wy-stęp. Okazało się, że po naszej południowej próbie został chwilę sam i do pustych rzędów zagrał I część *Koncertu D-dur*. Tyle zdążył, potem został wyproszony przez zamykającego salę woźnego.

Następnego dnia nad ranem pociąg, którym wracaliśmy do Polski, dojeżdżał właśnie do granicy czechosłowacko-polskiej. Do przedziału wszedł celnik. Wszyscy byli zaspani i półprzytomni, jedynie Latała wy-głądał na wypoczętego i w znakomitej formie. Chcąc się zaprezentować jako osoba towarzyska i rozmowna, od drzwi zagadnął celnika: – Jaką też, proszę pana, mamy pogodę w kraju?

Jego uprzejmy ton wzbudził podejrzenie funkcjonariusza. Spojrzał na Włada spode łba i kazał mu zdjąć z półki walizkę, po czym w obecności wszystkich dokładnie ją przeszukał. Oczywiście nie znalazł nic, co byłoby niedozwolone w świetle ówczesnych przepisów celnych; profesor Latała był obywatelem zbyt uczciwym, aby pozwolić sobie na jakikolwiek czyn niegodny wychowawcy młodzieży.

Władysława Latałę pamiętam z jednej jeszcze rzeczy. Regularnie przychodził na moje koncerty i za każdym razem czuł się w obowiązku podejść do mnie, aby mi pogratulować. Niezależnie od tego, jak mi się grało – lepiej czy gorzej – zawsze wygłaszał tę samą formułkę, która brzmiała mniej więcej tak: „Gratuluję panu. Zrobił pan ostatnio duże postępy zarówno muzyczne, jak i techniczne”. Ja dziękowałem, po czym rozstawaliśmy się. Trwało to latami. Tak sobie myślę, że gdyby to, co profesor Latała mówił, było choć w części prawdą, po jakimś czasie musiałbym grać co najmniej jak Ojstrach lub Menuhin.

Organizatorem naszych austriackich koncertów był wiedeński impresario doktor Theodor Kanitzer, znajomy Webera, notabene mówiący niezłe po polsku. Uważał się on za naszego dobroczyńcę i wielkiego przyjaciela Polaków, na każdym kroku to podkreślając. Wiele lat później, na jednym z koncertów mojego Tria w Austrii spotkałem się z nim raz jeszcze. Miałem okazję bliżej go wtedy poznać.

* * *

Na kolejnym roku studiów wróciłem do „Rotundy”. Pomimo iż ponownie umieszczono nas na najwyższym piętrze pięciopiętrowego akademika, wszyscy byli szczęśliwi; znowu mieszkaliśmy „w mieście”. Skład pokoju zmienił się, a moimi współlokatorami zostali pianista, organista i teoretyk.

Mieszkając w „Rotundzie”, poznałem Tomasza Stańkę, dziś gwiazdę światowego jazzu, wtedy początkującego trębacza jazzowego. Zwróciliśmy na siebie uwagę, ponieważ obaj w podobny sposób nosiliśmy swoje instrumenty, tzn. pod pachą. Tomek prawie codziennie przychodził do „Rotundy”, gdzie odbywał próby z pianistą Adamem Makowiczem. Mimo że jazzem specjalnie się nie interesowałem – ja swoje skrzypcowe umiejętności doskonaliłem na muzyce już wcześniej skomponowanej, on na trąbce tworzył ją sam, niejako na poczekaniu – nawiązała się między nami nić sympatii połączonej z szacunkiem, co trwa do dzisiaj. Od pierwszej chwili wyczułem w Tomku ogromną pasję do tego, co robi, i pewien byłem, że w swoim ukochanym rodzaju muzyki daleko zajdzie.

Jako student trzeciego roku uczestniczyłem w ciekawym eksperymencie, którego pomysłodawcą był rektor Bronisław Rutkowski. Za jego rządów krakowska uczelnia należała do liczących się w kraju, znana była z aktywności oraz ciekawych artystycznych inicjatyw. Eksperyment polegał na tym, że na okres czterech miesięcy studenci Felińskiego przeszli do Umińskiej, zaś cała jej klasa znalazła się pod pedagogiczną opieką Felińskiego. Były to ciężkie miesiące dla mojego profesora, który dwa razy w tygodniu zmuszony był przychodzić na uczelnię, aby odbywać tam lekcje, nie mówiąc już o jego oraz pani Felińskiej obawach związanych z pozostaniem na stałe co poniektórych „felińszczaków” u pani „U” – jak o Umińskiej mawiała Felińska.

Lekcje z profesor Umińską – osobą wysokiej kultury, zawsze zadbaną, a przy tym urodziwą – były dla mnie ciekawe i kształcące. Poznałem jej metodę, która znacznie różniła się od sposobu uczenia mojego profesora. Problemy techniczne jakby interesowały ją mniej, za to duży nacisk kładła ona na stronę muzyczną, dużą wagę przykładła do spraw kolorystyczno-brzmieniowych. Grałem wtedy *Mity* Karola Szymanowskiego. Utwory te, będące poza percepcją mojego Mistrza, do czego uczciwie i bez żadnego

skrepowania się przyznawał, bliskie były Umińskiej, znała je, można powiedzieć, od podszewki. Dowiedziałem się od niej, że jako młoda skrzypaczka kilka razy grała z kompozytorem na wspólnych koncertach.

Atmosfera na lekcjach była wysoce artystyczna i podniosła. Uwagi pani profesor dotyczące wykonawstwa utworów Szymanowskiego były dla mnie szczególnie cenne także dlatego, że naznaczone były piętnem znajomości z wybitnym kompozytorem. Odbierałem je jako uwagi samego Szymanowskiego, choć „z drugiej ręki”. Umińska dawała mi dużo swobody interpretacyjnej, uważała, że rozumiem i dobrze czuję tę muzykę (to potrafił też zauważyć mój profesor – chociaż tyle!). Pomimo stosowania przeze mnie palców dalece odbiegających od jej propozycji (większość kompozycji na skrzypce Karola Szymanowskiego Umińska opracowała dla Polskiego Wydawnictwa Muzycznego), nie robiła z tego kwestii i wszystkie je akceptowała.

Pewnego razu pani profesor zaprosiła mnie na koncert swojej uczennicy, ośmioletniej Kai Danczowskiej. Pamiętam, jak na estradę auli Podstawowej Szkoły Muzycznej wyszła drobna dziewczynka ubrana w marynarską bluzeczkę, z warkoczykami po obu stronach okrągłej buzi, i w sposób absolutnie zachwycający wykonała *Koncert a-moll* Accolaya. Wzruszyła mnie naturalną muzykalnością, pięknym dźwiękiem oraz doskonałą techniką. Oto „cudowne dziecko” – pomyślałem i po skończonym występie poszedłem ucałować to urocze stworzenie.

Rozpoczynając trzeci rok studiów, otrzymałem stypendium artystyczne (dziś nazywane naukowym) przyznawane wybijającym się studentom. Uważałem za swój obowiązek pokazać się publicznie i grą udowodnić, że na wyróżnienie to zasłużyłem. Wystąpiłem z pełnym recitalem, na którym grałem solowego Bacha, jedną z sonat Mozarta, kaprys Paganiniego, *Symfonię hiszpańską* Lalo, *Tzigane* Ravela, *Źródło Aretuzy* Szymanowskiego oraz *Miniatury* Krzysztofa Pendereckiego z kompozy-

torem przy fortepianie (w pozostałych utworach z fortepianem towarzyszyła mi ówczesna żona Krzysztofa, Basia Penderecka).

* * *

[...] W maju 1963 roku rozpoczęły się przygotowania do mojego koncertu dyplomowego, na którym miałem wykonać z filharmoniczną orkiestrą *I Koncert* Karola Szymanowskiego. Do dyrygowania wyznaczono studenta w klasie Henryka Czyży, mojego współlokatora – Lucjana Jaworskiego. Zaczęło się od prób z fortepianem (za orkiestrę „robiła” Basia Penderecka). Profesor Czyż wymagał od swojego podopiecznego, aby ten zwracał się do wyimaginowanych grup instrumentów i w sposób czytelny oraz sugestywny pokazywał im wejścia. Na początku było z tym sporo problemów, Lucek uczył się dopiero sztuki dyrygowania, ale w miarę upływu czasu szło mu coraz lepiej. O studentach dyrygentury my – instrumentalisci – mówiliśmy, trochę z przekąsem, a trochę z zazdrością, że kształcą się na dyrektorów.

Próby z prawdziwą orkiestrą przebiegały już całkiem gładko, choć przestawienie się na nowe, zupełnie inne słyszenie (orkiestra brzmi jednak inaczej niż fortepian, a dźwięki są rozproszone i dochodzą z różnych stron) nie było dla mnie łatwe. Grałem wtedy na skrzypcach „Gagliano”, pożyczonych od znajomego Felińskiego, wspomnianego Ryżewskiego z Mikuszowic pod Bielskiem. Instrument ten brzmiał miękko i wyjątkowo szlachetnie, ale jeśli chodzi o siłę tonu, „armata” to nie była.

Na piątkowym koncercie sala Filharmonii Krakowskiej wypełniona była do ostatniego miejsca, a atmosfera podniosła i uroczysta. Przyjechali też z Katowic moi rodzice i dumni byli z syna, po występie kilkakrotnie wywoływanego na filharmoniczną estradę.

MY STUDIES

In the second chapter of his memoirs, presented in this volume, Antoni Cofalik describes his student years spent in Cracow. During this time, he received a four-month tuition in violin playing from Eugenia Umińska. In contrast to his regular tutor (and her rival teacher), Zenon Feliński, Umińska not only appreciated 20th-century music, but also had been performing Szymanowski's pieces for violin (including performances together with the composer himself) and prepared the majority of his violin works for print. Apart from that, the author gives a portrayal of contemporary Cracow, his teachers and fellow students, as well as of his musical experiences and obligatory military training.

